

Raymond Roussel

# Locus Solus

Przełożyła Anna Wolicka

Posłowiem opatrzył Andrzej Sosnowski

Państwowy Instytut Wydawniczy

## ROZDZIAŁ

### 1

Rozpoczął się kwiecień, gdy w ów czwartek mój uczony przyjaciel, mistrz Marcjal Canterel, zaprosił mnie wraz z kilkorgiem swoich bliskich przyjaciół na zwiedzanie ogromnego parku, który otacza jego piękną willę w Montmorency.

„Locus Solus” – tak bowiem zwie się posiadłość – jest zacisznym schronieniem, gdzie Canterel lubi oddawać się w spokoju ducha swoim rozlicznym i owocnym pracom. W tej „samotni” jest wystarczająco daleko od zgiełku Paryża, a zarazem może w kwadrans znaleźć się w stolicy, kiedy jego badania wymagają pobytu w jakiejś specjalistycznej bibliotece lub gdy nadchodzi chwila ogłoszenia naukowemu światu na którymś z cieszących się niebywałym wzięciem odczytów kolejnej nadzwyczajnej rewelacji.

Canterel cały prawie rok spędza właśnie w Locus Solus otoczony uczniami, którzy pełni namiętnego podziwu dla jego niekończących się odkryć, z fanatycznym oddaniem pomagają mu w jego dziele. W kilku

pomieszczeniach willi zostały luksusowo urządzone wzorowe laboratoria, o które mają staranie liczni pomocnicy, mistrz zaś całe swoje życie poświęca nauce, likwidując w zarodku, dzięki swej ogromnej fortunie wolnego od obciążeń rodzinnych kawalera, wszelkie trudności natury materialnej wynikłe w trakcie jego zapamiętałej pracy, wskutek rozliczności celów, jakie przed sobą stawia.

Wybiła właśnie trzecia. Pogoda była przyjemna, a słońce jarzyło się na zupełnie niemal czystym niebie. Canterel przyjął nas w pobliżu willi, na powietrzu, pod starymi drzewami, w których cieniu porozstawiano dla wygody rozmaite wiklinowe fotele.

Po nadejściu ostatniego z zaproszonych gości mistrz ruszył naprzód, wiodąc za sobą naszą posłuszną gromadkę. Wysoki, ciemnowłosy, o szczerzej twarzy i regularnych rysach, z małym wąsikiem i bystrzymi oczami, z których wyzierała jego fenomenalna inteligencja, Canterel nie wyglądał prawie na swoje czterdzieści cztery lata. Ciepły i przekonywający głos dodawał wiele powabu jego porywającej elokwencji, której urok i jasność czyniły zeń jednego z wirtuozów słowa.

Wędrowaliśmy chwilę aleją pnącą się stromo pod górę.

W połowie zbocza ujrzelśmy stojący tuż przy drodze, w dość głębokiej kamiennej niszy, przedziwnie stary posążek, który zdawał się uformowany z czarnej, suchej i stwardniałej ziemi, a przedstawiał, nie bez wdzięku, uśmiechnięte nagie dziecko. Ramionka wyciągnięte były do przodu w geście ofiarowania – z dłońmi otwartymi ku sklepieniu niszy. Mała, uschnię-



ta wiekowa roślina wznosiła się pośrodku prawej rączki, tam gdzie ongiś zapaściła korzenie.

Canterel, który w rozstargnieniu podążał dalej, musiał odpowiedzieć na nasze chóralne pytania.

– Jest to Federat z siemieniem cytwaru, taki, jakim go Ibn Battuta ujrzał w samym sercu Timbaktu – rzekł, wskazując na posązek, a następnie wyjawiał nam jego pochodzenie.

★

Mistrz był ongiś bliskim znajomym słynnego podróżnika Echenoz, który podczas pewnej afrykańskiej wyprawy odbytej we wczesnej młodości dotarł był aż do Timbaktu.

Zgłębiając przed odjazdem kompletną bibliografię okolic, które go pociągały, Echenoz przeczytał kilkakrotnie pewną relację arabskiego teologa Ibn Battuty, uznawanego za największego po Marku Polo odkrywcy w XIV wieku.

Pod koniec obfitującego w pamiętne odkrycia geograficzne żywota, kiedy mógł być już zaznać odpoczynku, ciesząc się pełnią zasłużonej chwały, Ibn Battuta zdecydował się raz jeszcze na daleki rekonesans i zobaczył tajemnicze Timbaktu.

W czasie lektury Echenoz zwrócił przede wszystkim uwagę na następujący epizod.

Kiedy Ibn Battuta samotnie wkroczył do Timbaktu, miasto pogrążone było w cichej konsternacji.

Na tronie zasiadała wówczas kobieta, dwudziestoletnia zaledwie królowa Dul-Serul, która nie wybrała sobie jeszcze wówczas małżonka.





Dul-Serul cierpiała niekiedy na straszliwe w skutkach zatrzymanie menstruacji powodujące zapalenie, które dochodząc do mózgu, wywoływało ataki szału.

Przez owe zaburzenia krajowcy ponosili dotkliwie straty, gdyż dzierżąca absolutną władzę królowa skłonna była wówczas wydawać bezsensowne rozkazy, bez przyczyny szafując wyrokami śmierci.

Ten stan rzeczy mógł spowodować rewolucję. Ale poza owymi chwilami aberracji Dul-Serul rządziła swoim ludem z rozważną dobrocią, a nieczęsto zdarzało mu się zaznać równie szczęśliwego panowania. Zamiast więc, obalając władczynię, decydować się na niewiadome, znoszono cierpliwie jej przejściowe dolegliwości kompensowane długimi okresami rozkwitu.

Nikomu spośród medyków królowej nie udało się dotąd pokonać choroby.

Otóż w chwili przyjazdu Ibn Battuty atak silniejszy jeszcze niż poprzednie gnębił Dul-Serul. Musiano bez przestanku, na jedno jej skinienie, urządzać egzekucje niewinnych i palić zbiory na polach.

Zgnębieni terrorem i głodem mieszkańcy wyglądali z dnia na dzień końca tego napadu, który przeciągając się ponad wszelkie pojęcie, czynił sytuację nie do wytrzymania.

Na rynku miejskim w Timbuktu stał swego rodzaju fetysz, któremu ludowa wiara przypisywała wielką potęgę.

Był to posążek dziecka cały ulepiony z ciemnej ziemi, wzniesiony ongiś w ciekawych okolicznościach za panowania króla Forukko, antenata Dul-Serul.

Odnaczający się rozważą i łagodnością, które normalnie były także udziałem obecnej królowej, Forukko



podniósł kraj na wyżyny dobrobytu, ustanawiając prawa i nie żałując własnego trudu. Świątły agronom osobiście nadzorował uprawy, wprowadzając liczne owocne ulepszenia do archaicznych metod siewów i żniw.

Zachwycone tym stanem rzeczy plemiona ościenne sprzymierzyły się z Forukkiem, by móc korzystać z jego rad i dekretów; każde z nich zachowywało przy tym autonomię i prawo do ponownego uniezależnienia się w dowolnej chwili. Nie miał to być pakt uległości, lecz przyjaźni, zobowiązywano się w nim także jednoczyć w razie potrzeby przeciw wspólnemu wrogowi.

Śród szalonego entuzjazmu, jaki rozpętało uroczyste ogłoszenie zawarcia potężnej unii, aby pamiątkowym symbolem unieśmiertelnić to głośnie wydarzenie, postanowiono stworzyć posąg, używając do niego jedynie ziemi pochodzącej z terytoriów wszystkich zjednoczonych plemion.

Każdy szczep przysłał swoją część, wybierając czarnoziem, symbol szczęśnej obfitości, jaką zapowiadał patronat Forukka.

Z całej tej zmieszanej i ugniecionej ziemi znany artysta, pomysłowy w doborze tematu, ulepił wdzięczne, uśmiechnięte dziecko, które, jako rdzenny potomek licznych plemion połączonych w jedną rodzinę, zdawało się jeszcze bardziej wzmacniać ustanowioną więź.

Dzieło, postawione na rynku miejskim w Timbuktu, otrzymało z racji swego pochodzenia nazwę, która po przełożeniu na język nowożytny brzmiałaby: Federat. Wymodelowane pełną wdzięku sztuką dziecie, nagie, z dłońmi grzbietem obróconymi płasko ku ziemi, wyciągało ramiona, jakby składając niewidzialną

dań, w geście symbolizującym dar bogactwa i szczęśliwości – obietnicę zawartą w idei, którą przedstawiało. Wyszuszony wkrótce i stwardniały posążek zyskał na dobre trwałość.

Zgodnie z powszechnym oczekiwaniem, złoty wiek rozpoczął się dla zespolonych plemion, które przypisując swą pomyślność Federatowi, otoczyły namiętym kultem tego wszechpotężnego fetysza, on zaś wysłuchiwał chętnie ich niezliczonych modlitw.

Za panowania Dul-Serul związek szczepów ciągle jeszcze istniał, a Federata wielbiono z tym samym fanatyzmem.

Gdy przejściowe szaleństwo monarchini wciąż się wzmagало, postanowiono udać się tłumnie do posągu i błagać, by niezwłocznie zażegnał klęskę.

Ibn Battuta widział i opisał wielką procesję, która z kapłanami i dostojnikami na czele podążyła do Federata, aby zgodnie z ustalonym rytuałem zanieść doń długie, żarliwe modły.

Tegoż wieczoru nad okolicą przeszedł straszliwy huragan, istny niszczycielski cyklon, który przemknął nad Timbaktu, nie czyniąc wszakże szkody Federatowi, chronionemu przez otaczające go budynki. Przez następne dni, skutkiem rozpętania się żywiołów, wielokrotnie spadała ulewa.

Tymczasem ostra demencja królowej wzmagала się, sprowadzając jedną plagę za drugą.

Poczynano już tracić wiarę w Federata, gdy pewnego ranka fetysz objawił wszystkim bliską rozkwitnięcia roślinkę, która zapuściła korzonki w zagłębieniu jego prawej dłoni.

Bez chwili wahania wszyscy uznali to za lek na dolegliwość Dul-Serul, w cudowny sposób ofiarowany przez wielbione dziecię.

Rozwinąwszy się szybko dzięki słonecznej pogodzie przeplatanej deszczem, ziele owo pokryło się maleńkimi bladożółtymi kwiatkami, te zaś, starannie zebrane i ususzone, zaaplikowano władczyni, której obłąkanie dochodziło wówczas do zenitu.

Spóźniające się zjawisko wystąpiło niezwłocznie, a Dul-Serul, doznawszy wreszcie ulgi, odzyskała właściwy sobie rozsądek i sprawiedliwą dobroć.

Pijany radością lud podczas wspaniałej ceremonii złożył dziękczynienie Federatowi i aby zapobiec kolejnym nawrotom choroby, zdecydował pielęgnować przez regularne podlewanie tajemniczą roślinę, dotąd nieznaną w okolicy, co dopuszczało jedną tylko hipotezę: przeniesione drogą powietrzną przez huragan z odległych krain jedno ziarenko, wylądowawszy na prawej ręczce bóstwa, dojrzało w ziemi użyźnionej deszczem. Z przesądnego szacunku pozostawiono sadzonkę na dłoni posągu i nie śmiano nigdzie indziej posiać jej nasionek.

Wedle powszechnego mniemania wszechpotężny Federat sam rozpuścił ów cyklon, przywiódł ziarenko do swojej dłoni i sprowadzał po kolei wszystkie życiodajne ulewy.

Ten to fragment opowieści Ibn Battuty upodobał sobie podróżnik Echenoz, toteż po przybyciu do Timbaktu jął wypytywać o Federata.

Pozbawiony wszelkiej wymowy na skutek poróżnienia się solidarnych niegdyś plemion, usunięty z rynku miejskiego i trzymany jako zwykła ciekawostka wśród



relikwii pewnej świątyni, fetysz dawno już popadł był w zapomnienie.

Echenoz zapragnął go zobaczyć. Z rączki dziecka, nietkniętego i uśmiechniętego, wyrastała wciąż jeszcze słynna roślina, sucha teraz i pokurczona, która niegdyś – jak podróżnikowi udało się dowiedzieć – przez kilka lat, aż do zupełnego wyleczenia, zapobiegała wszystkim kolejnym napadom choroby u Dul-Serul.

Znając botanikę o tyle, o ile tego wymagała jego profesja, Echenoz rozpoznał w owym starożytnym szczątku roślinnym pęd *artemisia maritima* – i przypomniał sobie, że zażywane w minimalnej ilości pod postacią żółtawego lekarstwa o nazwie *semen-contra* ususzone kwiaty tej promienistopłatowej rośliny stanowią rzeczywiście bardzo skuteczny środek na wywołanie menstruacji. Lek ten działał na Dul-Serul właśnie w słabych dawkach, gdyż czerpano go z jedyne go, skąpego źródła.

Uznając, iż Federata, zważywszy na jego obecne zaniedbanie, można będzie nabyć, Echenoz zaofiarował zań sporą sumkę, skwapliwie przyjętą – i przywiózł do Europy osobliwą statuetkę, której perypetie żywo zajęły Canterela.

Otóż Echenoz zmarł niedawno temu, zapisując Federata przyjacielowi przez wzgląd na zainteresowanie, jakie ten żywił dla starego afrykańskiego fetysza.

★

Nasze spojrzenia, wlepione w symboliczne dziecię, opromienione dla nas w tej chwili, tak jak i stara roślina, najwspanialszą glorią, zwróciły się niebawem ku trzem prostokątnym wypukłorzeźbom, wykutym

w dolnej partii wyniosłej kamiennej bryły, w której wydrążona była nisza.

Przed nami, między ziemią a poziomem platformy, na której ustawiony był Federat, ciągnęły się jeden pod drugim trzy podłużne, horyzontalnie ułożone freski rzeźbiarskie o subtelnych barwach, miejscami bardzo już zatarte i sprawiające przez to wrażenie – tak jak i cały kamienny blok – że pochodzą z jakichś pradawnych czasów.

Pierwszy wypukły relief przedstawiał stojącą na trawiastej równinie młodą kobietę z ciężkim naręczem kwiecica w ramionach, wpatrzoną z ekstazą w widniejące nad horyzontem słowo TERAZ, ułożone na niebie ze strzępiastych cirrusów, które wiatr miękko poskręcał. Barwy, choć wyblakłe, zachowały się wszędzie, delikatne i różnorodne – dobrze jeszcze widoczne na obłokach w postaci licznych czerwonych odblasków zachodu.

Niżej, na drugiej wypukłości, pokazane było, jak ta sama nieznajoma, siedząc w przepysznej komnacie, wyciąga przez rozpruty szew z błękitnej, bogato haftowanej poduszki jakąś różowo ubraną i pozbawioną jednego oka kukłę.

Tuż nad ziemią trzeci fragment wprowadzał na scenę jednookiego w różowym odzieniu, żywy odpowiednik kukły, wskazującego kilkorgu gapiom niewielki blok żyłkowanego zielonego marmuru, którego górna ścianka, z uwięzioną w niej do połowy bryłą złota, nosiła bardzo płytko wyryty napis „Ego”, parafę i datę. Na drugim planie krótki tunel z zamkniętą kratą pośrodku zdawał się prowadzić do jakiejś ogromnej jaskini wykutej w ścianie zielonej, marmurowej góry.

W dwóch ostatnich scenkach niektóre kolory były jeszcze dość intensywne, zwłaszcza błękit, róż, zieleń i złoto.

Na nasze pytania Canterel objaśnił tę plastyczną trylogię. Mniej więcej siedem lat temu, dowiedziawszy się, że powstaje towarzystwo mające na celu odkopanie bretońskiego miasta Gloannic, zniszczonego i zasypanego piaskiem w XV wieku przez niebywały huragan, mistrz, bez najmniejszej chęci zysku, nabył jego liczne akcje po to tylko, aby poprzeć to imponujące przedsięwzięcie, które jego zdaniem mogło przynieść pasjonujące efekty.

Za pośrednictwem swoich przedstawicieli największe muzea obu światów już wkrótce poczęły ubiegać się o liczne odkryte dzięki umiejętnym i właściwie zlokalizowanym pracom wykopaliskowym cenne przedmioty, które przesyłano od razu do Paryża, prosto w ogień publicznych licytacji.

Canterel, obecny przy nadejściu każdego nowego transportu starożytności, przypomniał sobie nagle pewnego wieczoru na widok trzech malowanych wypukło-rzeźb, zdobiących z przodu podstawę niedawno odkopanej wielkiej pustej niszy, tę oto legendę armorykańską zawartą w cyklu opowieści o królu Arturze.

W zamierzchłych czasach, w stolicy swojej, Gloanniku, Kourmelen, król Kerlagouëzo – dzikiej krainy położonej na najdalszym zachodnim cyplu Francji – poczuł, choć jeszcze młody, że od dawna już słabowite zdrowie opuszcza go nagle do reszty.

Kourmelen żył od pięciu lat we wdowieństwie po utracie królowej Pléveneuc, zmarłej przy narodzinach pierwszego dziecięcia, małej królowny Hello.